

Ania, klechdy i Wielomrok



Bartłomiej Baranowski

Bartłomiej Baranowski

Ania, klechdy i Wielomrok

© Copyright by Bartłomiej Baranowski & e-bookowo
Grafika na okładce: Piotr Kisielewski

ISBN e-book: 978-83-8166-223-9

ISBN druk: 978-83-8166-198-0

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2021

*Kochanej żonie Sylwii,
bez której to marzenie by się nie spełniło.*

Rozdział pierwszy

Dom dziecka w Nysie

Cześć. Mam na imię Ania. Wy nie? Trudno. Czymś się z wami podzielę. Macie czasami takie dni, gdy wszystko, absolutnie wszystko, jest przeciwko wam? Że przypalacie nawet wodę na herbatę. Gdy lubiany do tej pory przedmiot w szkole nagle przestaje dobrze iść? Gdy najlepsza przyjaciółka robi wam świństwo, a najlepszy kolega kradnie piłkę? Wyobraźcie sobie, że całe moje życie, każda minuta, sekunda i wszystkie chwile właśnie tak wyglądały. Wszystko idzie pod prąd. I pomimo tego, że bardzo się staram. Korzystam z różnych rad. Słucham psychologa, opiekunów, starszych koleżanek... to i tak wszystko pozostaje bez zmian.

Niektórzy eksperci piszą, że to wina problemów w dzieciństwie. Tylko, kiedy się ono kończy? A może inaczej. Kiedy się ono zaczyna? Czy czternaście lat to jeszcze dzieciństwo, czy już dorosłość? Jak wam się wydaje? Te problemy to jakieś straszne rzeczy. Na przykład, że ktoś cię nie przytulał albo, że nie bujał na huśtawce, lub wymuszał na tobie jedzenie marchewki z groszkiem. Cokolwiek by to nie było – ja w to nie wierzę. Jaki to może mieć wpływ na moje życie? Żadne. Zresztą co za różnica. Wiecznie czuję się nie na miejscu.

Wszyscy teraz gadają o Nowym Roku. To dopiero za sześć miesięcy, albo i dłużej. Przecież to taka ważna data. Rok

2000. Faktycznie, nie zawsze się taki zdarza. Ale czym się on różni od chociażby 1999? Niczym... chyba. Każdy mój rok wygląda tak samo. Nic się w nim nie zmienia. Ani koleżanki, ani koledzy. Nawet wydaje mi się, że uczę się stale tego samego. I że mam te same oceny.

Nie myślałam jeszcze o tym. Czasami, ale tylko czasami, wyobrażam sobie, że dzieje się coś niezwykłego. Coś, nad czym nikt nie może zapanować i jest to zupełnie niespodziewane. Dlaczego? Bo stałoby się coś innego! Coś, co by coś zmieniło. A tak? Nadal wszystko zostaje takie samo.

Anna Kowalska

Dom Dziecka w Nysie

– Myślałaś kiedyś, żeby zjeść obiad z rodzicami? – idąca po lewej dziewczyna, nawet nie spojrzała na swoją koleżankę. Zajęta była odpisywaniem na SMS-a od swojej przyjaciółki.

– Przecież nie mam rodziców – odpowiedziała dziewczyna. Gdy się jest wychowankiem domu dziecka, to temat rodziców na początku ciekawi, potem boli, a później jest neutralny. Jakby go nigdy nie było. Nie jest zły czy dobry. Nie rani ani nie cieszy. Równie dobrze można rozmawiać o sytuacji politycznej w Mozambiku.

– No tak, ale gdybyś miała, chciałabyś z nimi zjeść obiad? – nie ustępowała dziewczyna w blond włosach. Ręce miała schowane w kieszeni. Mimo połowy czerwca wiał chłodny wiatr.

– Mmm... nie wiem. Na czym miałyby to polegać? – większa z dziewczyn starała się zrozumieć tok rozumowania blondynki. – O co jej znowu chodzi? – pomyślała. Przyjaciółka Ania nie grzeszyła rozcarnieniem, a dodatkowo była marzycielką. Jednak nie sposób było jej zarzucić brak dobrego serca.

– No wiesz. Że mama przygotowuje obiad, a ty w tym czasie z ojcem gracie w chińczyka. A później wszyscy siadacie przy stole i jecie.

– I już?

– I już – Ania pokręciła zniecierpliwiona głową. Była o rok starsza od dziewczynki i widać było pomiędzy nimi różnicę w poziomie rozumowania. Ale nawet gdyby były w tym samym wieku, to czuła, że rok temu miała więcej w głowie.

– Nie wiem. Nie zastanawiałam się. Wolałabym zjeść w pokoju. Swoim. Albo przy telewizji – odparła.

Ania zamysliła się. To ona marzyła o tym, żeby czasami zjeść obiad z rodzicami. Wymyślała sobie matkę i ojca, z którymi siedzi w kuchni i pomaga im w przygotowaniach. Robi to automatycznie i z radością, inaczej niż w ośrodku. Ma przyjemność, że może z nimi przebywać. Jednak nie ma to teraz znaczenia, bo prawdopodobnie nie będzie już miała rodziców. Ma czternaście lat i zdecydowanie by nie chciała ich już mieć. W jej wieku po dziewczyny z ośrodka zgłaszają się tylko jacyś zbrodniecy. I choć z pewnością nie jest pruderyjna, to nie chciałaby trafić do jakiejś podejrzaney rodziny. Bała się tego od dawna.

– A ty byś chciała? – zapytała starsza. Nie zrobiła tego z ciekawości, po prostu chciała być miłą dla młodszej koleżanki. Równie dobrze mogłaby nie odpowiadać.

– Nie wiem. Może.

Ania wiedziała, że to pytanie z litości. Nie chciała się uzewnętrzniać na ten temat.

Pomimo końca roku szkolnego, nadal było chłodno. Niektórzy śmiali się, że to pogoda tak wariuje z końcem milenium. Ania nie brała tego na poważnie. Jej wychowawca ze szkoły – wuefista Łukasz – stale jej zarzucał, że niczego nie bierze na poważnie. Starał się jej nie dołować, wiedział, jaką ma sytuację, ale mimo wszystko musiał wywierać jakąś presję, by ta zupełnie się nie rozpadła. Wszyscy wiedzieli, że jest roztrzepana.

W oddali, pomiędzy wysokimi brzożami, stał budynek. Dzieciaki w nim mieszkające, nigdy nie nazywały go domem. To był ośrodek. Starsze dzieci wiedziały, że dom dopiero sobie założą, a to po prostu miejsce, gdzie będą przechowane do czasu osiągnięcia dorosłego wieku. Wystarczyło wytrzymać osiemnaście lat i droga wolna. Gdy Ania czasami oglądała jakieś filmy dziejące się w ośrodkach były to zawsze obdrapane rudery. Myślała wtedy, że to nieprawda. Ich budynek, choć nie pierwszej młodości był już od dawna ocieplony. Miał wściekle żółtą barwę tynku i okna na parterze umieszczone tak wysoko, jakby tego parteru w ogóle nie było. Podobno kiedyś budynek faktycznie był obdrapany, ale Ania tego nie pamięta. Jak da-

leko sięgała jej pamięć, budynek był zawsze wściekle żółty. Na podwórku stała piaskownica i kilka huśtawek, wszystko bardzo zadbane. Wychowawcy przestrzegali dzieci, by niczego nie niszczyły i weszło im to w krew. Upomnianie nie było potrzebne, bo ośrodek dostawał duże dotacje rządowe, a pobliski kościół kilka razy w roku organizował zbiórki na rzecz dzieciaków. Ania myślała, że w ośrodku ma nieraz lepiej niż dzieci w domach z pełną rodziną. Dostawała komplety nowych ubrań, lalki, a starsze dzieci już od roku posiadają własne komórki.

Na zjeżdżalni siedziało kilkoro dzieciaków, które były młodsze od Ani, ta podobnie jak jej starsze koleżanki, zlekceważyła je. Pomimo tego, że krzyczeli do nich w geście przyjaźni. Ania nie umiała sobie z tym poradzić i uśmiechnęła się do nich delikatnie, tak by starsze nie widziały. W środku było chłodno, czysto i pachniało detergentem. Tylko w pokojach starszych dzieciaków unosiła się specyficzna woń. Nastolatkwie często wydzielali zupełnie inne zapachy niż pozostałe dzieci i dlatego (przynajmniej tak sobie wszyscy żartowali) mieszkali na górze. W ich pokojach przeplatały się zapachy potu, perfum, herbaty oraz słodczy.

Ania mieszkała już w ostatnim pokoju w swoim „ośrodkowym” życiu. Ten ostatni był nazywany „odchodnym”. W ośrodku każdy pokój był nazywany inaczej. Pokoje, w których przebywały małe dzieci, nazywane były przez wszystkich „beksami”. Nawet niektórzy opiekunowie je tak nazywali, ale nie w obecności dzieci. Były też pokoje „glutów” i „śmierdzieli”.

„Odchodny” mieścił się na poddaszu ogromnego budynku, w którym jeszcze w czasach wojny był posterunek policji. Niektórzy uczniowie zarzekali się, że nie raz w nocy po parterze, między stołówką a pokojem dyrektora, można było zobaczyć ducha. Chodzącego starego Żyda, a gdy się do niego krzyknęło „Icku, Icku poka cycku” to podobno odwracał się tyłem i pokazywał zadek zza szlafmicy. Ania już dawno w to nie wierzyła. Gdy była nieco młodsza, to spacerowała po całym ośrodku nocą w poszukiwaniu... sama nie wiedziała czego. Ubierała się wtedy na czarno i przechadzała pomiędzy jedną framugą a drugą, tak by jej nikt nie widział, i obserwowała, uwięziona w mroku, wszystkich dookoła. Parę razy ją złapano, ale to nigdy nie stało jej na przeszkodzie, by kontynuować nocne spaceru.

Niezauważona przemykała w cieniu i boso, była wszędzie. Cały budynek znała od podszewki. Wchodziła do gabinetu dyrektora, gdzie szukała imion swoich rodziców w aktach z dawnych lat. Szła do kotłowni, gdzie spał wysoki i ponury majster Zygmunt, choć wszystkie dzieciaki w ośrodku nazywały go Zigi. Zajrzała do skrytek, pokoi i miejsc, o których nawet nie wiedział konserwator. To działał się jakiś rok temu. Od ciągłego chodzenia boso w nocy, miała twarde stopy. Gdy poznała wszystkie zakamarki ośrodka, była bardzo zmęczona i przygnębiona.

I to już koniec? Nie ma nic więcej – myślała, gdy wychodziła z sypialni pani Elżbiety, wychowawcy chłopców na pierwszym piętrze.

Spis treści

Rozdział pierwszy	5
Dom dziecka w Nysie	
Rozdział drugi	20
Nie lubię ludzi o imieniu na M	
Rozdział trzeci	39
Górka obok torów	
Rozdział czwarty	55
Bazyli	
Rozdział piąty	81
Tadeusz z Cisów	
Rozdział szósty	103
Zakupy	
Rozdział siódmy	141
Zasada „wody i kamienia”	
Rozdział ósmy	188
Chłopiec z fortepianem	
Rozdział dziewiąty	229
Droga do domu	
Rozdział dziesiąty	261
Bał	
Rozdział jedenasty	284
Obieźysfer	
Rozdział dwunasty	310
Pierwsze zadanie	
Rozdział trzynasty	335
Święta	
Rozdział czternasty	359
Sąd	
Rozdział piętnasty	379
Wielomrok	
Rozdział szesnasty	397
Więzienie	
Rozdział siedemnasty	406
Wesele	